

Piotr Zalone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego
Marya S.

13

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

Tajemnicza spinka.

— Jest człowiek, którego pokochałbym jeszcze mogła. Właśnie ty jeden mógłbyś być tym człowiekiem. Kto wie? Ale nie wystarczy mieć w sobie wierność psa, trzeba posiadać bezgraniczne przywiązanie niewolnika, zdolnego oddać w każdej chwili swoje własne życie! Trzeba mieć w sobie posłuszeństwo, które się przed niczem nie waha, które uderza, gdy mu rozkaza, umiera, gdy każe umierać!

Karpol doznał olśnienia; drżącymi rękami przyciskał podnoszące się wysoko piersi.

— Więc tego żądasz odemnie? — zapytał stanowczym i spokojnym głosem.

— Chcesz poddać się próbie?

— Kiedy?

— Niedługo...

I mówiąc to obrzuciła go długim spojrzeniem, pod wpływem którego nieszczęśliwy karzeł zadrżał boleśnie. Poczem wolnym krokiem skierowała się ku wyjściu i znikła w głębi ogrodu.

Przy końcu lipca 18.. Paryż był widownią szczególnego zdarzenia. Około godziny dziewiątej wieczorem podwójne drzwi willi Senneterre, wychodzące na ulicę Św. Honoryusza, otworzyły się szeroko przed zachwyconymi oczami przechodniów i wkrótce zbita masa ciekawych stanęła na przeciwnym chodniku, by móżd lepiej obserwować niezwykle widok, jaki się przed ich oczami okazał. Dawno nie pamiętano w tej dzielnicy tak wspaniałej i bogatej uroczystości. Wejście do willi było jasno oświetlone mnogością latarni, noszących na sobie herb hrabiowski właściciela i rzucały na ścieżki, wysypane świeżym piaskiem, olśniewające swoim bogactwem błyski. W głębi, w obszernych przedsionkach i kurytarzach widniały błyszczące w promieniu rześkiego światła długie weneckie lustra i żyrandole. Ogród cały tonął w powodzi girland i festonów w fantastycznym oświetleniu opalowych świec. Niktby nie potrafił opisać wrażenia, jakie uczyniła willa hr. Senneterre w tem otoczeniu bogactwa. Działy się tu widocznie niezwykle rzeczy, kiedy wewnętrzny jej wygląd mógł w jednej chwili uleść tak pociągającej zmianie. Mówiono, że hrabia wydaje zamąż swoją siostrzenicę Helenę i dziś odbyć się miał właśnie uroczysty i oficjalny akt zaręczyn jej z hr. Henrykiem des Tournelles. Mówiono także, że przyszły małżonek hrabianki Heleny był już dawniej przyjęty do rodziny przez samego hrabiego Senneterre — lecz zwłokę tę tłumaczono sobie słabem zdrowiem młodej narzeczonej. Biedne dziecko było rzeczywicie cierpiące; z dniem każdym policzki jej bledły, ciemne cienie, rysujące się pod jej smutnymi oczami, stawały się wyraźne i głębsze.

Helena cierpiała jakiś ból ukryty, na który wiedza lekarska ulgi znaleźć nie mogła. Uśmiech bolesny i wymuszony, zjawiający się czasem na jej pobladłych ustach, czynił przynębiające wrażenie. Smutek i chorobliwy wygląd młodej narzeczonej były tematem gorących rozmów i dociekań pomiędzy tłumem, znajdującym się na ulicy. Cały Paryż miał tej nocy ukazać się na salonach willi przy ulicy Św. Honoryusza — cały Paryż utytułowany i wspaniały. Około wpół do jedenastej przed willą panował ruch i zamęt nie do opisania.

Około północy zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki. Dreszcz rozbawienia i rozkoszy przebiegł po sali i wkrótce zawrotny wir pociągnał obecnych. Podczas gdy bawiono się z całą swobodą w dolnych salonach willi hr. Senneterre, na pierwszym piętrze obok oranżeryi w saloniku, przygotowanym do gry, działy się dziwne rzeczy. Pokoik ten był maleńki, cały wybity ciężkim czerwonym sukniem; puszysty dywan tłumił odgłos kroków. Przez ciężkie portyery z aksamitu, szczelnie zasunięte, nie dobiegał żaden wyraźniejszy odgłos. Na środku saloniku stał stół, na którym paliły się cztery świece, przyćmione lekkim abażurem. Było już po północy, gdy nagle cichym krokiem wszedł do pokoju człowiek. Był to starzec łysy, starannie ogolony; piersi miał udekorowane kilkoma orderami, a oczy przysłaniały mu ciemne okulary w złotej oprawie. Postąpił parę kroków, upewnił się, że niema nikogo w pokoju i usiadł na krześle przy

stoliku. Upłynęło kilka minut. Nieznajomy obojętnie przeczekał w dłoni złote sztony, służące do gry. Cisza panowała zupełna. Starzec jednak nie przyszedł tu szukać wytchnienia i spokoju po gwarze, panującym w dolnych salonach — widocznie czekał na kogoś, bo po chwili spojrzął na zegarek i uczynił nienormalny ruch zniecierpliwienia. W tej samej prawie chwili uchyliły się portyery i do pokoju weszła druga osobistość. Człowiek ten wyglądał dziwnie. Twarz miał oliwkową, czoło silnie w tył biegnące, włosy krótko strzyżone, a kołnierz śnieżnej białości, wiążący mu szyję, i jasna krawatka, ściągnięta za silnie, uwydatniały ciemną cerę twarzy. Brwi miał gęste i ciemne, spojrzenie przenikliwe i żywe. Na jego widok starzec wstał i wziął do ręki talie kart, leżących na stole. Nowoprzybyły bez słowa podszedł do stołu i usiadł, ukłoniwszy się przedtem z wyszukaną grzecznością.

— Czy pan robi mi ten zaszczyt i zechce zagrać ze mną partycję *d'écarte*? — spytał starzec.

— Zagram, w co tylko pan zechce — odrzekł nowoprzybyły, kłaniając się powtórnie.

— O co grać będziemy?

— O dziesięć talarów, jeśli pan zechce.

— No dalej, mój przyjacielu — zawołał starzec, mrugając oczami — północ minęła a przecież tu wiekować nie będziemy. Śpiesz się, mości Rigolo.

— Służę panu, panie Buvard.

Obaj agenci byli zmienieni do niepoznania — sami nawet z trudnością poznać się mogli. Rigolo rzucił niedbale dziesięć talarów na stół. Buvard uczynił to samo i gra się rozpoczęła. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na grę przeciwnika i pochyleni nad stołem prawie usta przy ustach, szepotali coś z sobą prędko i nerwowo:

— Widziałeś już coś? — zapytał Buvard.

— Prawie nic, dopiero przybyłem — odpowiedział Rigolo. — Przechodząc przez salony dostrzegłem Helenę. Biedactwo wygląda na prawdziwą ofiarę.

— A tamta? Widziałeś ją?

— Marzenie! Obstawaj przy tem, co już raz powiedziałem. Szczęśliwym będzie ten, kogo ta dziewczyna pokocha.

— A hrabia des Tournelles?

— Ani go nie widziałem, ani go nie znam.

— A Jerzy?

— Jeszcze niewidzialny. Przybędzie od ulicy Gabryela; uprzedzę Helenę i zobaczymy się z nim. Tylko należy nam się umówić, gdzie się spotkamy...

— Spotkamy się tu lub u mnie — tymczasem uważaj, słuchaj i zapamiętaj wszystko.

— O, niech pan będzie spokojny. A więc postanowione! Rozchodzimy się.

Buvard chciał odpowiedzieć, gdy cicho rozsuneły się portyery. Do pokoju weszło trzech ludzi o poważnym i surowym wyglądzie. Rigolo czemprędzej rzucił się do kart.

— Atut, atut! król u mnie — rzekł zmieniający zupełnie głos, uśmiechając się grzecznie... Drogi panie jesteś pokonanym...

Buvard wstał.

— Dasz mi pan sposobność do odegrania się innym razem, teraz powołuje mnie zajęcie. Do prędkiego więc zobaczenia, kochany panie.

Przechodząc ukłonili się grzecznie przybyłym gościom i wkrótce zmieszali z rozbawionym tłumem, zalegającym salony. Zabawa była w całej pełni. Przed chwilą przybył hr. des Tournelles. Narzeczone wyglądała prześlicznie, oprócz urody i młodości wносиła przyszłemu swojemu mężowi kilka milionów posagu. Hrabia wyglądał wcale dobrze, był przystojnym, umiał się znaleźć w świecie i żył szeroko. Czegóż więcej żądać było można? Hrabia zapewne wiedział, kogo przyjmuje do swej rodziny, był przecież opiekunem posażnego dziewczęcia i musiał powziąć pewne wiadomości o narzeczonem, zanim przyjął jego oświadczenia. A przytem Helena zgodziła się zostać jego żoną!

Zebrani goście znajdowali, że piękna narzeczone była szczególnie bladą i smutną. — Bładym uśmiechem i spojrzeniem pełnym głębokiej melancholii przyjmowała składane jej życzenia. Helena nie miała przyjaciółek. Lea była jedyną powiernicą, przed którą duszę swą szczerze otworzyć mogła. I na ten temat tłum ciekawy i żądny wrażeń czynił różne uwagi i przypuszczenia. Lea promieniała. Spokojna i pewna siebie przesuwiała się przez salony, mierzając otaczających spojrzeniem dumnym, zachwycając wszystkich cudnie toczonymi ramionami, wysmukłą kibicią, całą postacią, wykutą jakby z marmuru przez prawdziwego artystę. Niektórzy utrzymywali, że małżeństwo He-

leny nie było dla niej obojętnym faktem, bo po opuszczeniu przez młodą dziewczynę domu wuja i opiekuna, ona pozostanie panią sytuacji, panią wspaniałej tajemniczej willi i jej właściciela, którego trzymać będzie pod swoim wyłącznym wpływem. Ta piękna dziewczyna marzyła pewnie o tem, że sama zostanie hrabiną Senneterre. Uśmiechnięta i zuchwała przebiegała salony, wsparta na ramieniu starego hrabiego, którego twarz jaśniała szczęściem i spokojem... Ogólny, jasny nastrój otoczenia psuł jedynie tylko smutek Heleny. Biedne dziecko czuło się opuszczone i samotne. Raził ją gwar zabawy i widok tych wszystkich przepojonych weselem twarzy. Obawiając się, aby smutek zanadto nie zwracał uwagi obecnych, oddaliła się do pobliskiej oranżeryi, gdzie z westchnieniem opadła na krzesło, kryjąc pobladłą twarz w dłoniach.

— Boże, Boże mój! — szeptała — ty nie pozwolisz, aby się to stało. — Ja nie mogę zostać żoną tego człowieka. Jerzy! Jerzy! Ty wiesz, jak cię kocham! Nie opuszczaj mnie! Powiedz słowo, rozkaż mi a uczynię, co zechcesz.

Umilkła, wyczerpana wybuchem. Dreszcz zimny przebiegł jej czoło, kaszel suchy, urywany, podniósł jej pierś wątlą, a na ustach okazało się cokolwiek różowej piany.

— O, gdybym umrzeć mogła — jęknęła. — Umrzeć przy nim, patrząc w jego oczy! Ale być samą całe życie! to okropne!

Nagle zerwała się drżąc. Z poza olbrzymiego kaktusa wyłoniła się wysoka sylwetka mężczyzny...

— Kto to? czego chcecie odemnie? — zawołała z lękiem.

— Proszę się niczego nie obawiać — szepnął człowiek z dobrotliwym uśmiechem. — Przynoszę dobrą wiadomość. Widziałem pana Beraldi. Mówił mi o pani. Kocha panią szczerze. Czuje się jednak bardzo nieszczęśliwym i postanowił za jakąbądź cenę przeskodzić małżeństwu pani z hrabią des Tournelles.

— Ah! — szepnęła Helena. — Czy on przypuszcza, że ja pragnę tego związku? Jestem bez sił, nie wiem, co czynić! Pomyśl pan, jestem sama bez opieki i oparcia, bez przyjaciela.

— Jerzy pani nie opuści i sam tej nocy powtórzy to pani.

— Jakto? Zobacze go? Gdzie?

— W parku, gdzie czekać będzie na panią.

— Ależ ja iść tam nie mogę, to niebezpiecznie, tyle osób w willi...

— Właśnie dlatego, nikt w zamieszaniu nie spostrzeże pani zniknięcia. Posłuchaj mnie pani! Posiadasz pani przecie klucz od drzwi, które prowadzą z tej oranżeryi do ogrodu! Za godzinę więc Jerzy czekać będzie na dole. Pani przyjsz musi!

— Mój Boże! nie wiem doprawdy, co czynić. Nie wiem czy... czy to prawda?

— Nie ufa mi pani. To naturalne, bo nie wiesz kim jestem. Jednakże niema czasu do namysłu... a nikt o tem wiedzieć nie powinien. Przedewszystkiem Lea... ale cicho! nie mówmy o tem... co mam odpowiedzieć panu Jerzemu?

— Sądze, że mnie pan nie zwodzisz — rzekła po chwili namysłu Helena — nie wyglądasz na człowieka, któryby chciał coś złego uczynić tak nieszczęśliwej, jak ja? Powiedz pan Jerzemu, że przyjdę.

— A to mi się podoba. Wierżaj mi, biedne dziecko, że nie pożałujesz tego kroku.

I uniesiony wzruszeniem Rigolo pochwycił dłoń Heleny i uściśnął ją mocno. Lecz w tej samej chwili z lekkim okrzykiem w tył się rzucił.

— Co panu jest? — zawołała Helena z niepokojem.

— Nic! nic! lekkie uderzenie krwi do głowy.

Oczy jego uporczywie wpatrywały się w medalion z brylantów, który jaśniał na szyi młodej dziewczyny. Rigolo przetarł czoło ręką. Czy śnił? Medalion ten zapięty był agraftką, zrobioną ze spinki, takiej samej zupełnie, jaką znalazł na ulicy Monge w dniu pamiętnego morderstwa. Chciał już zapytać Heleny, skąd pochodzi ten klejnocik, gdy usłyszał szmer otwieranych drzwi na schodach.

— Ktoś idzie — zawołał — pamiętaj pani o swojej obietnicy. Do widzenia, bądź ostrożną.

Zaledwie drzwi się za Rigolem zamknęły, gdy do oranżeryi weszła Lea.

Rigolo biegł jak szalony po schodach. Dopiero na samym dole zatrzymał się dysząc ciężko i chustką otarł spocone czoło. Dusił się!